



Attila Szalai

Wniebowzięcie Najświętszej Maryi Panny

Poniżej drukujemy fragment dzienników Attili Szalaja opowiadający o jego udziale we Mszy św. za Ojczyznę w Ossowie 15 sierpnia 1982 r. Tekst pochodzi z książki *Lengyel földön* (Na polskiej ziemi).

Św. Stefan powierza swoją koronę Najświętszej Maryi Pannie, statua z 1938 r., Budapeszt. Fot. Wikimedia Commons

Warszawa, 15 sierpnia 1982 r.

Rocznica Cudu nad Wisłą. 15 sierpnia 1920 r. W święto Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny wycofujące się od prawie miesiąca Wojsko Polskie ruszyło do przeciwnatarcia i pod Warszawą rozbiło butną watahę bolszewików, która jako „bękart z Wersalu” zadeptała Polskę, prąc do Berlina po „błogosławieństwo” Róży Luksemburg, i być może nie zatrzymałaby się nawet aż do Atlantyku. Wojsku w walce o stolicę z pomocą przyszła ludność cywilna, studenci, gimnazjaliści, harcerze, księża, nawet robotnicy, słowem wszyscy, którzy nie mieli chęci być aniołami w sowieckim raju.

Najbardziej krwawe walki stoczono na oddalonej około 30 kilometrów na wschód od Warszawy linii Radzymin–Ossów. W obydwu tych miejscowościach pamięci o tym strzegą cmentarze i pomniki. Polska z tą wojną została sama, a przecież zaledwie dwa lata wcześniej po 123 latach rozbiorów powróciła na mapę Europy, ale teraz pomoc nie nadeszła znikąd. Co prawda ententa zapewniała jej suwerenność, a Trianon – który dla nas, Węgrów, oznaczał narodową tragedię – Polakom przyniósł wolność.

Wielkie mocarstwa ciężko znosiły fakt, że Warszawa miała swoje zastrzeżenia związane z granicami nakreślonymi przez obce ręce. Podział Śląska, Cieszyn ma być polski czy czeski, wyjście na Bałtyk (sprawa Gdańska, Gdyni, itp.), Bug jako rzeka graniczna na wschodzie (pomysł wzburzonego mózgu lorda Curzona), przynależność części Litwy i kwestia Lwowa, wspieranie samodzielności Ukrainy, współpraca z białymi wojskami interwencyjnymi w walce z bolszewikami (Wrangel) – to tylko niektóre z trudnych pytań jednocześnie skłaniających do wyciągania wniosków. Anglicy i Francuzi zadarli nosa na Polaków, bo niby „ci niewdzięczni anarchiści i podżegacze” nie pozwolili im sobą rządzić. Jak zwykle nic prawdziwie nie rozumieli i nawet nie zamierali zrozumieć.

Polska o sztucznie nakreślonych granicach nie miała przemysłu, Śląsk zaś w dużej części zamieszkiwali Polacy, jasne przecież, do którego kraju ciągnęli. Cieszyn z kolei był potrzebny ze względu na kopalnie, nie mówiąc o tym, że przynajmniej połowę ludności tam też stanowili Polacy. A dostęp do morza – przecież nie trzeba tłumaczyć, co oznacza dla kraju chociaż krótka linia brzegowa. Lwów dla Polaków znaczy tyle, ile dla nas Kolozsvár [dziś Kluż-Napoka]. Wilno – no tak – to bardzo pogmatwana sprawa: w czasach dawnej, szlacheckiej Rzeczypospolitej

Obojga Narodów Wilno dla Polaków było równe Krakowowi i Warszawie. Litwa po uzyskaniu samodzielności też miała ku niemu uzasadnione skądinąd prawa. Wbrew decyzjom ententy Piłsudski, który sam z tamtych terenów pochodził, zdobył je wprawdzie bez rozlewu krwi, ale przemocą wojskowego puczu i nawet do głowy mu nie przychodziło odstąpić od swojej decyzji. Dla Polaków granica na linii Bugu była zupełnie nie do przyjęcia, bo przecież historyczne granice kraju sięgały znacznie dalej. Samodzielna Ukraina dlatego zaś im odpowiadała, że wydawało się jasnym, że odłączenie od Moskwy pięćdziesięcio-, siedemdziesięciomilionowego kraju tak osłabi Rosjan, że nigdy więcej nie będą zagrażać zachodnim sąsiadom. No tak, ale sprzymierzeńcy, a zwłaszcza popierany przez Anglików Wrangel, słyszeć nie chcieli o suwerenności Ukrainy, nie mówiąc już o sprawie Polski, której rozwiązanie [Wrangel] przewidywał wyłącznie po rozbiciu bolszewików i przywróceniu w Petersburgu i Moskwie dawnego wzoru mocarstwa. Zrozumiałe, że Piłsudski raczej unikał z nim współpracy.

W końcu ententa jakby od niechcenia przesłała Polsce zmagającej się z czerwonymi na śmierć i życie parę transportów broni. Na niewiele więcej było ją stać. Nawet tyle nie potrafiła osiągnąć, żeby usuwać przeszkody przed tymi, którzy autentycznie i czynnie zamierzali udzielić wsparcia Polakom. Tak na przykład Węgry, doświadczone czerwonym terrorem Béli Kuna, wysłałyby tysiące ochotników na świętą wyprawę krzyżową w obronie Wisły, ale sojusznicy im na to nie pozwolili. Próbowali pomagać więc w inny sposób, lecz zaraził bolszewizmem czechosłowaccy kolejarze zatrzymali transport z karabinami Mannlichera, 22 milionami naboju i innym sprzętem wojskowym pochodzącymi z czepelskiej fabryki Manfréda Weissa, Mała Ententa zaś oznajmiła, że niby „nie dysponuje odpowiednimi środkami”, by transport uwolnić. Tak naprawdę Londyn i Paryż nie zamierzały dać kopniaka w tyłek ukochanej Pradze.

Jednak wreszcie 13 sierpnia składy mogły stamtąd ruszyć. W ostatniej chwili do Skierniewic pod Warszawą przyjechało 70 wagonów, które szaleńczym pędem rozładowano, a broń i amunicję w mig przerzucono na front. I w ten oto sposób 15 sierpnia pod Radzyminem i Ossowem polscy żołnierze mogli nabojami pochodzącymi ze skrzyń z napisem „Weiss Manfréd Csepel” dziurawić bolszewickie mundury i sztandary. Ale tak po prawdzie, ile osób dzisiaj wie o tym naszym znaczącym udziale w cudzie, który wtedy wydarzył się

nad Wisłą? I to wszystko miało miejsce w dniu, kiedy nasz król św. István polecił Węgry Marii Pannie...

Na plebanii przy Żytniej wpadła mi w ręce ulotka, z której wyczytałem, że 15 sierpnia w niedzielę o piątej po południu, w świeżo odnowionej kaplicy cmentarza w słynnym Ossowie odbędą się jej poświęcenie i odpust. Zadzzwoniłem do Ákosa, aby zapytać, co by powiedział na taką wycieczkę. Ledwo zacząłem mówić, jak Ákos wpadł mi w słowo i kontynuował swoje – oni już wiedzieli o tej uroczystości. Wyruszyliśmy w dwa auta: Krystyna, Ula, Ákos, małżeństwo Maziarskich, Karesz Tar, no i ja.

Radzimin. Przy wjeździe od strony Warszawy, zaraz po prawej stronie widoczny jest cmentarz. Na jego pobielonej, łukowatej bramie tablice pamiątkowe. Wewnątrz kaplica. Po obu stronach od wejścia ciągnie się ogromny, kamienny parkan i dalej symetrycznie umieszczono krzyż upamiętniający bohaterów. Z grubszą tyle wpadło nam w oczy. Z braku czasu dalsze oglądanie odkładamy na inną okazję – Zaduszki, Wszystkich Świętych, 11 listopada, albo po prostu na ot tak.

Krążąc krętymi ścieżkami w stronę Ossowa, trzy razy zabłądziliśmy i w końcu około wpół do siódmej znaleźliśmy się przy tablicy z nazwą wsi. Z daleka widzimy ustrojone chorągwie. Idziemy główną ulicą. Wzdłuż niej zygzakowato umieszczono sznury, a na nich chorągiewki. Okna domów, płoty, a nawet stodoły, stajnie i ściany drewnutni zdobią wstążki, kwiaty, święte obrazy. Na podwórkach niektórych domostw otoczone kwieciami widoczne są trzy-, czterometrowe figury. Gdzieś na rozmaitego kalibru stołkach, taboretach, stołeczkach używanych przy dojeniu krów, skrzyniach po zaprawie murarskiej, ławeczkach nakrytych obrusem z koronką wybudowano domowe ołtarze. Świeczki i znicze, większość z nich się pali, ale ich ogień nie jest zbyt widoczny w jaskrawym świetle sierpniowego dnia. Większe i mniejsze różnymi technikami wykonane kopie obrazu częstochowskiej Czarnej Madonny. W niektórych domach wychodzące na ulicę okna paradnych pokojów dla nadania doniosłości wyłożono dywanami przybrzanymi gałązkami jedliny. Zanim doszliśmy do polnej drogi, dwukrotnie przeszliśmy pod transparentami z napisem: „Witamy Cię, Ekscelencjo”, owitymi młodymi, delikatnymi gałązkami i kwiatami. Łamiemy sobie głowy: no chyba nie ksiądz Prymas abp Józef Glemp będzie święcił kaplicę? Przecież na ulotkach nie było jego nazwiska! Wszystko jedno, ludzie, jesteście spóźnieni, szukajmy parkingu, może lepiej, jak tu zostawimy wóz, bo tam bliżej nie znajdziemy miejsca.



Bp Zbigniew Kraszewski i wierni przed Mszą św. w Ossowie, 15 sierpnia 1982 r. Fot. Maria Koniecznyńska

Na rozpoczęcie Mszy faktycznie spóźniliśmy się, ale na kazanie zdążyliśmy. Do kaplicy prowadzi nieutwardzona, piaszczysta i grząska, biegnąca obok potoczka z drewnianym mostkiem polna droga. Samochód na samochodzie, będzie tego najmniej trzysta aut. Stoją wszędzie, przy rowach i na łąkach. Furmanki, wozy drabiniaste, ozdobne wiejskie zaprzęgi, zapach świeżych końskich bobków i ich wypucowani na glanc sprawcy, błyszczące uprzęże, po których wesoło przemykają promyki światła. Odświętnie ubrany tłum ludzi. Milicjantów prawie nie widać. Jeden czy dwa „żuki” wyposażone w krótkofalówki czają się w cieniu przydrożnych drzew, co jakiś czas widać trzyosobowy patrol. Gdyby się ubrali w zwykłe mundury, nie byłiby tak widoczni wśród odpustowiczów. Ale ci wypakowali się jak na ćwiczenia, pistolety przy boku, AK-47 na ramieniu. W jednej ręce wloką

kaski ochronne, a w drugiej ściskają radiotelefony. Nieźle się pocą – Pan Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy! Niewiasty, dzieci, mężczyźni o osmalonych wiatrem twarzach i żylastych szyjach, zupełnie na luzie, ale odświętnie ubrani miastowi – wszyscy omijają patrol ZOMO-wców mniej więcej tak, jak woda opływa kamień w potoku. No i ocierają okropnie spocone czoła. Szeregi ludzi są gęste, ale mimo to i tak każdy trzyma się od milicjantów w co najmniej metrowej odległości, tak jakby byli zarażeni paskudnym chorobą. Mundurowi też czują panujące w powietrzu obrzydzenie i pogardę: przemieszczają się z opuszczonymi głowami, a oczy tylko wibrują im pod brwiami.

Słuchamy kazania. Stoimy w tłumie ludzi przy świeżo odmalowanej kaplicy. Głos księdza dzięki rozwieszonym na ścianach kościółka i drzewach głośnikom jest słyszalny również na zewnątrz. Biała kaplica na krzycząco zielonej łące, a wokół lasek. I słyszymy, że ziemia, na której stoimy, a na której dziś rosną drzewa, niegdyś miała barwę czerwieni. Krwiste było pole, z którego miejscowi teraz z roku na rok zbierają zboże. A zatem spożywamy chleb wyrosły na krwi bohaterów... Ksiądz znakomicie wie, jak lud trzeba podtrzymywać na duchu! Wręcz czuje się, jak otwierają się ludzkie serca. Ten pasterz nie boi się... święte słowa! Coraz mniej owija w bawełnę, rozpala się i jasno mówi o barbarzyństwie płynącym strumieniem ze wschodu, czarcie odzianym w czerwone sztandary. O świętej wojnie przeciwko diabelskim watahom, o krwi bohaterów, która tu płynęła w 1920 r., gdy miłość, wiara i oddanie Ojczyźnie dodawały wojsku sił do walki. A ta krew – drodzy moi – nie płynęła na darmo. Szatan nie zawładnął narodem! Bo jakie jest prawdziwe zwycięstwo? Takie jak nasze – moi drodzy – w którego konsekwencji tu dziś razem jesteście. Prawdziwym zwycięstwem jest to, że cały naród dziś może pochylić głowy nad czynami bohaterskich przodków, że przejmuje od ojców swych pałeczkę i staje do walki z podobnym poświęceniem, jak oni to czynili. Prawdziwe zwycięstwo to oddanie czci ostatniej i miłości. Módlmy się – moi drodzy – za tych bohaterów, którzy dla Ojczyzny poświęcili siebie! Módlmy się za tych wszystkich, którzy w więzieniach i obozach dla internowanych cierpią w imię Ojczyzny...

Były to piękne słowa, rozjaśniały twarze słuchającym. Oczyma duszy widzieliśmy ks. Skorupkę, który prowadząc do boju żołnierzy, zginął tu śmiercią bohatera, a jedyną jego bronią był trzymany w ręku krzyż. Ákos po cichu mruczał koło mnie: „Wyobraźcie to sobie na Węgrzech!”

Spróbuję to sobie wyobrazić. Po pierwsze: na taką uroczystość nie zesłoby się tylu ludzi co tutaj. Po drugie: księdzu, który w podobny sposób zapalałby wiernych, ugodywy Kościół węgierski już dawno dałby poważne ostrzeżenie, odsunął go na pipidówkę lub całkiem od służby kapłańskiej, zamknął w klasztorze albo wysłał na misje. O mój Jezu, jakimż to narodem jesteśmy?! Połączmy ze sobą rok 1956 i o pół roku późniejszy 1 Maja, kiedy to na peszteńskim placu Bohaterów tysiące ludzi pozdrowiało krwawego Kádára. Wnioski wysuwam więc takie: polska przyszłość istnieje, węgierska nie. Ale jednak pomódlmy się za nią. Módlmy się za to, abyśmy faktycznie stali się takimi, jakimi widzą nas Polacy – biedni nasi przyjaciele, którzy wyobrażenie o nas czerpią z czynów Batorego, Rákóczego, Kossutha i Petőfięgo, narodu, któremu z oddaniem swą służbę poświęcił Ojczulek Bem. Nie wiedzą, że bohaterowie ci coraz to od nowa byli odzierani z esencji narodowej, stając się bezdusznymi figurami woskowymi kadarowskiego panoptikum. Gdzie publiczność z głupimi, baraniami minami znosiłaby, żeby postawić między nimi kukły Béli Kuna czy Tibora Szamuelyęgo, lub „sowieckich oswobodzicieli”. I gdzie ta tragicznie kiczowata panorama jest rzeczywistością pod hasłem „1848 – 1919 – 1945 – Rewolucyjne Dni Młodości”.

Oglądam umieszczone na ścianach pamiątkowe tablice i marzę o tym, aby trafiła tu kiedyś taka, która przypominała będzie o węgierskiej pomocy, o tym, że to tu właśnie uciekający czerwoni Moskale wączali zapach csepelskiego prochu. Panie Boże, niech Polska będzie błogosławiona, że również nam dałeś możliwość udziału w tej podniosłej uroczystości!

Pod koniec Mszy św. komunია. Nie widać specjalnej kolejki. Wszystko jest znakomicie zorganizowane: dziesięciu, a może piętnastu księży kręci się pomiędzy tłumem wiernych i dzieli sakramentem świętym. A na koniec Mszy *Boże, coś Polskę...* rozbrzmiewa patriotyczna pieśń nabożna i – podobnie jak to było 1 sierpnia na Powązkach – towarzyszy jej las wyciągniętych dłoni z palcami ułożonymi w znak zwycięstwa.

W końcu dopchaliśmy się do kaplicy. Za bramą ogrodu okalającego budowlę znajdują się symboliczne groby, pośrodku których stoi cokół zwieńczony krzyżem *Virtuti Militari*, a poniżej orzeł w koronie ze skrzydłami rozpiętymi do lotu. Z boku świeżo odnowiony napis: „Wieczna cześć i chwała bohaterom, którzy w tym

miejsu 15 sierpnia 1920 roku życie swe oddali za Ojczyznę w walce na śmierć i życie z hordą bolszewików”. Poniżej nazwiska, rangi, przydziały służbowe.

Podkreślam raz jeszcze: jest 15 sierpnia 1982 r., jesteśmy w komunistycznej Polsce, którą sterują kremłowskie marionetki, a do tego już ósmy miesiąc rządzi czerwona junta wojskowa. Na Węgrzech pielęgnowanie pamiątek po bohaterach 1919 r., ofiarach czerwonego terroryzmu walczących z zaciętrzewiałymi komunistami jest zabronione. O ile jeszcze one są i nie zniszczył ich Rákosi i Kádár. A tu...

Ákos cytuje swoje chlubne powiedzenie: „Wiesz bracie, Polak jest przysłowiową żyrafą wśród innych narodów!”. Powiedzonko wywodzi się z dowcipu, w którym chłop wiejski, zobaczywszy w ogrodzie zoologicznym żyrafę, stwierdza, że „przecież takiego zwierzęcia po prostu nie ma!”.

Wewnątrz kaplicy bogato zdobione ołtarze, nie brakuje na nich barw i symboli narodowych. W świątyni umieszczono wystawę zdjęć o słynnej bitwie. Pomiędzy nimi reprodukcje romantycznych obrazów przedstawiających boje. Jeden z nich obraz święty: po prawej stronie ruszający do walki polscy żołnierze o natchnionych twarzach przedzierają się do przodu poprzez ciała poległych towarzyszy broni, prowadzi ich dwudziestosiedmioletni ksiądz, ochotnik – kapelan Ignacy Skorupka, który trzymając przed sobą krucyfiks z oczyma wzniesionymi ku niebu, prze na szeregi obagnetowanych wojaków o złych twarzach z gwiazdami na czapkach. Nad polem bitwy ze wzniesioną ręką Królowa Polski – Maria Panna zasiadła na nieboskłonie. U podnóża ołtarza ogromny, upleciony po mistrzowsku z kłósów wieniec i orzeł w koronie, który z góry rozpostartymi skrzydłami i pazurami strzeże przewiązanego wstęgą o narodowych barwach świeżo upieczonego bochna chleba. No tak, stąd to pszeniczno-chlebowe kazanie księdza. Przecież dzisiaj są dożynki i święto nowego chleba.

Poruszenie przy tylnym wyjściu: nie Glemp, lecz inny biskup właśnie się oddala – oznacza to, że to jemu, autorowi odważnego kazania, były dedykowane słowa powitania na przydrożnych transparentach. Ledwo nacisnąłem migawkę aparatu fotograficznego, jak Ákos z boku krzyknął: – Popatrz! Tam do przodu! Chodź, to już zupełne szaleństwo!

Podeksycytowany odciaga mnie od ściany kaplicy. Teraz i ja już widzę i ze zdziwienia otwieram usta: kilka metrów od bramy kaplicy, trzymając konia za lejce, przeży się najprawdziwszy ułan z 1920 r. W każdej chwili może zniknąć owa fatamor-

gana, dlatego szybkimi ruchami, instynktownie staram się posługiwać aparatem i jak najdokładniej uwiecznić to złudzenie.

Ale nie ma co się śpieszyć. Ułan jest prawdziwy. To nie zjawą, nie przywidzenie. Liczący około osiemdziesiątki szczupły starszy pan z ostrym łukowatym nosem, siwe gęste wąsy, na gładko ogolony, śniada cera. Mundur leży na nim jak ulał. W cieniu rogatywki młodo błyszczą niebieskie oczy. Przy szarozielonym mundurze świecą guziki, po oficerkach prześlizguje się promień słońca, mosiężne ostrogi sypią złocistymi iskrami. Świeżo naoliwiona pochwa szabli jest jak lustro. Po lewej ręce lejce, po prawej pika

przyozdobiona białoczerwoną tasiemką. Na boku platerowany mapownik, a w przezroczystym, plastikowym etui widać zdjęcie z 1920 r. Podobnie jak dziś stoi na nim w pełnej gotowości, z tą tylko różnicą, że na zdjęciu jest bardzo młody, a na ramieniu ma krótki ułański karabin. Mam wrażenie, że do dziś z bronią się nie pożegnał, trzyma ją gdzieś schowaną w domu, może na strychu albo pod podłogą porządnie zabezpieczoną i w towarzystwie paru garści nabojów. Widziałem już podobne sprawy na przykład u chwackich górali, no i jeszcze na Mazurach...

Jego odświętnie osiodłany koń gotowy jest do jazdy. Przy łąku przytroczone manierka, koc, pałatka. Dobrze utrzymane konisko jest tak odpućowane, że można je głaskać w białych rękawiczkach i na pewno nie będzie na nich śladu brudnej sierści. Ludzie z zainteresowaniem kręcą się wokół wiarusa, bombardują pytaniami. Okazuje się, że w 1920 r. walczył dokładnie na tym odcinku frontu, zna wszystkie domy, drzewa, krzaki, rowy, zna pół wsi, a wieś zna jego. Ludzie co chwilę o coś



proszą. „Tatuniu, wskakujcie na tego konia, pokażcie nam, jak to się robi!” albo „Hej, ojczulku, jakże to wtedy było, jak siekałeś na kawałki bolszewików?”.

Nawet ślad nie pozostał po patrolu ZOMO. W jednej chwili jakiś głęboki głos zaintonował zakazany *Marsz Pierwszej Brygady*. Dołączają doń setki gardeł. Dźwięczy pieśń legionowa wokół kaplicy, a wśród tego chóru przeży się stary ułan. Kto wie, czy to nie najszczęśliwszy dzień w jego życiu? Po sześćdziesięciu dwóch latach po bitwie, w zniewolonej przez bolszewików ojczyźnie, teraz, wśród swoich świętować ówczesne zwycięstwo – to przecież nie byle jakie uczucie!

Przybyli na uroczystość ojcowie i dziadkowe trzymanym na rękach dzieciom tłumaczą historię tamtych lat. Dzieci, jedno po drugim – aby lepiej widzieć starego wiarusa – wdrapują się na ręce rodziców i krewnych i z zaciekawieniem wiercą im dziurę w brzuchu rozlicznymi pytaniami: „Jak to też jest? Czy jak to było wtedy? Dlaczego kiedyś było tak, a teraz jest inaczej?”. Twarze ojców rumienieją od emocji, ale ci nadal niestrudzenie tłumaczą wszystko swoim pociechom. A jak ktoś czegoś nie wie, to daje dzieciom podsłuchać mądrzejszego sąsiada. Właśnie słyszę, jak stojący koło mnie czterdziestoletni mężczyzna mówi do swojego dziesięcioletniego syna: „Dobrze się, chłopcze, przyjrzyj temu starszemu panu, abyś mógł kiedyś opowiadać swoim wnukom, że tobie jeszcze było dane widzieć prawdziwego ułana z dziewięćset dwudziestego roku, walczącego o Cud nad Wisłą”. Najwspanialsze jest, że smarkaczy interesuje to, wchłaniają w siebie wszystko, co widzą i słyszą, co najmniej jakby to była opowieść o siedmiogłowym smoku.

Tłum ponownie się poruszył. Słychać nawoływania: „Chodźcie do pomnika! Niech pan też idzie z nami!”. Podekscytowani kroczyliśmy w ludzkiej powodzi. Jaki pomnik mógł się tu ostać? Co za niespodzianka? Dziarsko, brzęcząc ostrogami, stąpa też stary ułan. „Czemu nie wsiada pan na konia?! Trzaskaj, ojczulku, z bata i jazda!”. Ale stary ułan nie chce. Odpowiada: „Później, kochani, tam, przy obelisku! Za dużo tu zamieszania, koń się spłoszy i będzie kłopot... tam na miejscu, później, no!”.

Dobrze, że poszliśmy za ludźmi: na środku wsi widzimy stojący obelisk. Wygląda na podejrzenie nowy. U jego podstawy wyryto napis: „Na tej ziemi dnia 14 sierpnia 1920 roku, w obronie Ojczyzny, prowadząc żołnierzy do ataku, poległ śmiercią bohaterską ks. mjr Ignacy Jan Skorupka, kapelan 236. Pułku Legii Akademickiej”.

Wrażenie się nasila. Stary ułan dosiada konia – i to rześko jak młody chojrak! Rogatywkę zamienia na hełm bojowy, macha szablą i oddaje honory przed obeliskiem. Na pice powiewa biało-czerwona szarfa, na szyszaku błyszczą orzeł w koronie. A potem stary prosi o miejsce i je dostaje. Przesuwa się trochę i po krótkim galopie przeskakuje przydrożną ławkę, ustawia pikę i w pędzie precyzyjnie przebija nią kartkę papieru wielkości dłoni. Zostawia ją wbitą w ziemię i pokazując husarskie machnięcia szablą, znów szarżuje; ciach, obcina łeb słonecznikowi stojącemu samotnie na skraju rowu, w biegu chowa szablę do pochwy, odwraca się ponownie, z miejsca rusza w galop i z ziemi wyrywa pozostawioną tam wcześniej pikę. Jedną ręką ujmuje rękojęść, opiera o prawy but i znowu zatrzymuje się przed obeliskiem, aby oddać honory. Widowisku temu towarzyszą niekończące się owacje.

Jakieś pięć czy sześć osób gromadzi się pod pomnikiem, chcą zrobić zdjęcie. Dwóch wyglądających na godnych szacunku o szpakowatych brodach mężczyzn, jeden wąsaty młody człowiek oraz dwie w średnim wieku eleganckie kobiety. Fotograf ma wpięty w klapę znaczek Solidarności. – Można! – słychać głos skierowany do ludzi pod pomnikiem, którzy w tym oto momencie palce dłoni układają w literę „V” i z poważnymi twarzami odwracają się w stronę obiektywu. Kilka razy trzaska migawka aparatu.

Szybko się okazuje, że starszy pan o siwiejącej brodzie jest fundatorem obelisku. Ma może pięćdziesiątkę na karku. Dopycha się do niego kobieta. Twarz jej hoża z emocji, a w rękę trzyma notatnik.

- Można o kilka słów?
- Tak.
- Proszę w kilku zdaniach opowiedzieć o inicjatywie budowy...
- Dla jakiej gazety pani pracuje?
- Dla „Biuletynu Mazowsza”...

A zatem powtórzę raz jeszcze: mamy sierpień 1982 r., środek stanu wojennego Jaruzela, a tu na otwartej ulicy, na oczach tysiąca ludzi spokojnie udziela się wywiadu podziemnej prasie. Oficjalnie przyznając się do nazwiska i twarzy. I to przy obelisku upamiętniającym wydarzenia, o których komunistyczna władza nawet słyszeć nie chce. A na domiar wszystkiego na samym środku wsi całkiem prywatna osoba stawia pomnik „zakazanym” bohaterom. Wygląda na to, że Polacy

sami w sobie dokonali już zmian ustrojowych. A kwintesencja polega na tym, aby nie brać pod uwagę panującego systemu i nie bać się!

(Taki to prosty przykład moi rodacy, węgierskie mięczaki! Abyście dokładnie zrozumieli: to jest tak, jakby wiosną 1957 r. przy pomniku postawionym ku chwale ofiar Szamueliego fundatorzy udzielali wywiadu nielegalnej gazecie Gyuli Oberovszkyego).

Z Ossowa wyjeżdżaliśmy całkowicie uskrzydleni. Ledwo dotarliśmy do drogi prowadzącej w stronę Warszawy, jak kokosząca się na tylnym siedzeniu lady dziesięcioletnia córka Ákosa, Ula, która z dużym przejęciem opowiadała nam właśnie o „antypaństwowych” akcjach swoich kumpli – uczniów z powszechniaka – nagle wrzasnęła: „Popatrzcie tam!”.

Moi współpasażerowie odwrócili się, a ja zerknąłem we wsteczne lustroko samochodu. Za nami widoczna była prowizoryczna, wbita w pobocze drogi tablica kierunkowa. Na białym tle ułożone w kształt krzyża dwa czarne miecze – na wzór znanego w kraju oznaczenia miejsc pamięci narodowej – obok data 1920, a pod spodem strzałka wskazująca zjazd na Ossów. Tak na wszelki wypadek, gdyby kogoś to zainteresowało...

Przemieszczając się dalej, odkryliśmy, że trasa, którą właśnie jedziemy, nosi wręcz symboliczną nazwę: Alei Armii Czerwonej... No, Polacy już tym czerwonoarmistom raz pokazali którądy do domu. Miejmy nadzieję, że nadejdzie czas, kiedy zrobią to ponownie. Może razem z nami. A jeśli nasi rodacy tkwiący w bagnie gulaszowego komunizmu jednak nie przyłączą się do tego, to my, warszawscy Węgrzy – jeśli dożyjemy – przy tym na pewno będziemy.



Artur Szalai (ur. 1950) – węgierski dziennikarz i tłumacz, były dyplomata, wieloletni redaktor pisma Polonii węgierskiej „Głos Polonii”, założyciel i redaktor naczelny dziennika konserwatywnego „Napi Magyarországon”. W latach 2001–2005 dyrektor Węgierskiego Instytutu Kultury w Warszawie. Obecnie ekspert Instytutu Badań i Archiwum Transformacji Ustrojowej w Budapeszcie. Autor książek: *A múltból jelen, a jelenből jövő: széljegyzetek a magyar nemzeti demokrata ellenzék lengyel kapcsolataihoz a XX. század utolsó harmadában* (szkice o związkach opozycji węgierskiej i polskiej, 2017); *Lengyel földön: emlékek, naplók 1976–1990* (Na polskiej ziemi. Wspomnienia i dzienniki 1976–1990, 2018) i in.